ROK I. PAŹDZIERNIK 1929 NR. 10

PRZESZŁOŚĆ

CZASOPISMO HISTORYCZNE DLA WSZYSTKICH

WYCHODZI CO MIESIĄC POD REDAKCJĄ PIOTRA ŻUKOWSKIEGO

Z dziejów kultury francuskiej.

Szkoły wiejskie i oświata ludu we Francji przed 90 laty.

Szkolnictwo powszechne było jedną z najbardziej zaniedbanych dziedzin życia francuskiego przed Rewolucją i w ciągu pół wieku po tym przewrocie, który ogromnie ożywił kraj (np. ruch pocztowy w okresie 8-letnim został podwojony) lecz ilość szkół zmalała w tych burzliwych czasach. Wśród życzeń, zgłoszonych przez posłów Stanów Generalnych 1789 r., żadne nie dotyczyło sprawy oświaty wiejskiej.

W r. 1833 za panowania Ludwika Filipa szef rządu Guizot, znakomity historyk, powziął projekt opodatkowania gmin na rzecz szkolnictwa. Pragnąc zdać sobie sprawę ze stanu oświaty i wobec braku zupełnego inspektorów szkolnych, Guizot zaproponował 490 najbardziej poważnym, godnym zaufania i światłym działaczom dokonanie inspekcji szkół nawet w najodleglejszych zakątkach Francji.

Złożone przez nich sprawozdania, bardzo barwne i szczere rzucają niespodziane światło na niesłychanie niski poziom chłopstwa, które było wówczas we Francji ciemniejsze, nż obecnie nasze na Polesiu. Nauczyciel był nieszanowany, nałogowy, niesumienny, nieprzygotowany, do swego zawodu, oddawał się zarobkom postronnym, nieraz kompromitującym. Podczas przybycia wizytatora liczne szkoły stały pustką, gdyż nauczyciel hulał w szynku, lub był na polowaniu; byli tacy, których uwięziono za uprawianie lichwy, złodziejstwo, morderstwo. Inny znów został wydalony przez gminę za zatarg z księdzem, którego groził powiesić na dzwonnicy obok dzwonów. Oprócz zwyrodniałych moralnie było dużo głuchych, jąkających się i innych ułomnych; było nawet kilku epileptyków. W pewnej wsi ludność uznała za czarownika nauczyciela, który tak kochał łacinę, że podczas spacerów deklamował Wergilego; przerażone dzieci gremjalnie uciekły ze szkoły. Marnie opłacani, nie mogąc wyżyć z opłat szkolnych, nauczyciele niemal wszyscy są jednocześnie kowalami, fryzjerami, bednarzami, stolarzami, mają sklepiki tytoniowe i z bakaljami, szynki i oberże. Szkoła zajmuje i interesuje ich najmniej. Ciekawe były to typy!

Oto biedaczysko, którego gmina zmusza dzwonić na dzwonnicy podczas burzy; jest on zakrystjanem, bezpłatnym sekretarzem mera i lokajem księdza. Inni są lokajami u ziemianina, dzwonnikami, stróżami, grabarzami. Ten ma obowiązek bicia w bęben w chwilach ważnych i uroczystych, ów za marny grosz lub kawałek chleba co niedzielę przynosi wodę święconą do każdego domu w całej parafji. Są tacy, co podczas wytłaczania winogron wędrują z beczką od domu do domu, prosząc o parę litrów wina; inni z wózkiem idą na żebry po masło, jaja, groch, zboże.

W niedzielę nauczyciel sadowi się przy drzwiach kościoła i sprzedaje większą część wyżebranych produktów. Cóż dzwnego, że w biedniejszych gminach nauczyciel zjawia się w szkole w drewnianych chodakch, bez pończoch, kamizelki i krawata! Wszak zamiast niezbędnych do życia 300 frank. ma czasem rocznie 10 lub 7. W licznych gminach gospodarze są zazdrośni i nie tolerują najmniejszego dostatku w rodzinie nauczyciela. Pewien rozzłoszczony i wynędzniały nauczyciel stawał przy wejściu do kościoła i wzywał: „Panowie, przyjmę ucznia do szkoły za 25 santymów!“ Rodzice w wielu wypadkach nie chcą nawet na godzinę posłać do szkoły dziecka, które jest zajęte wypasaniem bydła lub zbieraniem owoców. „Nasi ojcowie nie umieli czytać, a jednak byli szczęśliwi; dlaczego nie mamy ich naśladować“, mawiali rodzice i nie posyłali dzieci do szkoły, nawet jeśli proboszcz opłacał naukę i kupował podręczniki, zmuszali 7-letnie maleństwa do haftowania za pół franka dziennie. W innych miejscowościach wizytatorom mówiono: „Czyż słońce nie świeci jednakowo dla nieuków i dla uczonych?“ W Medoc kilku wójtów było tego zdania, że tam winiarze są potrzebniejsi niż biegli w czytaniu. Wizytator zastał w pewnej szkole dzieci bez nauczyciela, który uprawiał swe pola. Taki był poziom rodziców i nauczycieli na wsi francuskiej w l. 1830—1835.

A jakżeż wyglądały lokale szkolne? Nauczano w kuchni, w której jednocześnie gotowano strawę; w pokoju, zamieszkiwanym przez nauczyciela; w jego warztacie chodaków drewnianych; w sklepiku, w piwnicy bez okien, w stajni cuchnącej lecz ciepłej, do której podczas lekcji przychodzą stangreci zadać koniom pokarmu. Jeśli jest gdzie „specjalna“ sala szkolna, to jednak służy ona jednocześnie jako biuro podatkowe w okresie płacenia podatków lub używają jej do posiedzeń rady gminnej, nawet do tańców; mieści się w niej czasem urząd bezpieczeństwa. Wskutek tego nauka nieraz bywa przerywana i uczniowie muszą wycofywać się ze swego lokalu. Gdy wizytator przekroczył próg pewnej chałupy, w której mieszkał nauczyciel z rodziną, uczniami i żywym inwentarzem, spłoszone kury z hałasem rzuciły się do drzwi,

łomocąc skrzydłami dostojnego gościa. Gdzieindziej wypadło wchodzić prawie na czworakach. A oto kloaka ponura i zadymiona, z błotnistą podłogą, na której podczas ulewy zjawia się woda na wysokość stopy. Do innej „szkoły“ wypada się gramolić po drabinie, na której łatwo skręcić kark w porze deszczowej. W niektórych szkołach panuje taki mrok, że niepodobna zatemperować pióra (gęsiego) gdyż w oknach zamiast szyb — papier. W jednej „szkole“ już po paru minutach człek się dusi dla braku powietrza, bo wójt, właściciel obok położonego ogrodu, kazał zamurować okna, by uniknąć ciekawych spojrzeń dziatwy; nauczyciel który był zarazem szynkarzem, nie ważył się protestować. Były szkoły, w których lada chwilę oczekiwano zawalenia się sufitu. Pewien nauczyciel potężną belką podparł sufit i w ten sposób zabezpieczył gmach przed runięciem. By uniknąć podobnych niebezpieczeństw, uczono dzieci „na świeżem powietrzu“, w dzwonnicy, niekiedy w kościele. Przeważnie jednak dzieci się dusiły w pokojach o powierzchni 12 stóp kwadr., gdzie co pięć minut trzeba było wychodzić za drzwi, by łyknąć powietrza, a nauczyciel zasypiał na lekcji lub omdlewał w zaduchu. W wielu szkołach niema ani stołów, ani ławek; dzieci siedzą na podłodze, nauczyciel musi stać.

Sto lat temu Francja posiadała tak mało szos, że dzieci z odległych wiosek musiały po ścieżkach błotnistych, przerywanych wąwozami, wlec się do szkoły dalekiej.

Zamiast mostów często rzucano przez potok deskę lub belkę; w lasach nie brakło jeszcze wilków i niedźwiedzi. Wśród takich niebezpieczeństw mali Francuzi zdobywali sobie odrobinę wykształcenia. Rodzice byli straszliwe skąpi: woleli zabrać dziecko ze szkoły, niż kupić podręczniki, wskazane przez nauczyciela. Dziecko przynosiło do szkoły książkę, z której się uczył ojciec lub dziad, która była drukowana według przestarzałej ortografji, nieraz gotyckiemi literami. Były w użyciu szkolnem na wsi książki takie jak „Podręcznik przyzwoitego i szlachetnego zachowania się“, który omawiał najodpowiedniejszą barwę peruki i sposób pudrowania włosów. Niepodobno było przekonać rodziców, że książki, odpowiednie dla pradziadów, nie nadają się dla prawnuków. Ponieważ niemal każdy uczeń posiadał inną książkę, o wspólnem czytaniu mowy być nie mogło. Do ćwiczeń w czytaniu tekstu pisanego prawie zawsze służyły kontrakty ślubne ojca lub dziada o treści dla dziecka niezrozumiałej.

Francja nie była całkiem jednolitą pod względem narodowościowym. Również różne narzecza jęz. franc., panujące na wsi, ogromnie utrudniały pracę szkolną. Na pograniczu z Belgją rodzice wymagali nauki czytania po flamandzku z książek, drukowanych gotykim. Całe

południe Francji używało odrębnego narzecza i nie rozumiało języka francuskiego literackiego. Księża wygłaszali kazania w narzeczu miejscowem, zachęcali ludność do używania mowy przodków, zmuszali nauczycieli do nauczania w tej samej gwarze. Skutkiem tego książki francuskie były dla dziatwy tak samo niezrozumiałe jak łacińskie. Koło Pirenejów nauczyciele nauczają w języku Basków; dzieci tam całkiem nie rozumieją po francusku. W Alzacji rodzice nie chcą, by dzieci się uczyły po francusku. W Strasburgu i Kolmarze co dziesiąty mieszkaniec jako tako mówi po francusku; w innych miastach — co piętnasty lub dwudziesty; na wsi jeden na 200 rozumie po francusku. Wśród nauczycieli nie brak tam takich, którzy wcale nie rozumieją tego języka i nauczają po niemiecku wyłącznie. Gdzieindziej nauka francuskego jest całkiem upośledzona na rzecz niemieckiego. Nawet wśród ludności wiejskiej w centrum Francji była niechęć do czystej poprawnej mowy. „Dzieciom naszym niepotrzebna jest paplanina mieszczuchów!“ Składnia, słownictwo, akcentowanie w tych gwarach ludowych były jeszcze w połowie wieku XIX tak odrębne i barbarzyńskie, że przybysz prawie nic nie rozumiał. Pewien wizytator pisał w r. 1833: „Są gminy czysto francuskie, w których poprawnie nikt ne mówi. Z wysiłkiem mogłem zrozumieć to, co mi czytały dzieci — do tego stopnia wadliwą była wymowa. Nauczyciele mówili nie lepiej.“ Lud używa mnóstwa niezrozumiałych przestarzałych wyrazów, np. parts (dzieci) zam. enfants, magne (ręka) zam. main. O niskiem poziomie nauczania w wielu szkołach świadczą wizytatorzy w ten sposób: „W całej szkole nie było ucznia, któryby umiał odczytać liczbę z trzech cyfr (108).“ W innej szkole dzieci, zapytane, w jakim kraju mieszkają, nie wiedziały tego i ze zdumieniem usłyszały, że są Francuzami. W departamentach, które stały najlepiej pod względem oświaty, w połowie, nawet w dwu trzecich gmin szkół nie było. W innych częściach Francji jedna szkoła przypadała na 12 gmin. Wójtowie, którzy z urzędu obowiązani byli opiekować się szkołą, byli prawie analfabetami. Próbowano stosować kary pieniężne za nieposyłanie dzieci do szkoły, nedopuszczać do Komunji Św., wyznaczać analfabetom dłuższy pobyt w wojsku — nic jednak nie skutkowało. Bezskutecznemi również były środki zachęty: obiady bezpłatne w szkole, zapomogi rodzicom itp. Z tępym uporem zatrzymywano dzieci w domu. W okolicach leśnych zmuszano je do zbierania chrustu, żołędzi, do pomagania przy ścinaniu drzew. W pasie pogranicznym chłopców 8—10 letnich organizowano w bandy przemytników tytoniu. Wszędzie używano rąk dziecięcych do robót polnych. — Na szkołę patrzano niechętnie, jak na kosztowny i zbyteczny pomysł panów z miasta. Tak ciemne były przed 100 laty masy narodu francu-

skiego, który my uważamy za przodujący ludzkości! Jakżeż słabą jest kultura współczesnej demokracji! Jak olbrzymią pracę ma przed sobą zwłaszcza nasze państwo, by miljony ciemnych barbarzyńców przerobić na światłych obywateli Polaków — Europejczyków!

D,Avenel.

Ze wspomnień kaukaskich. *)

Pomimo srogości Dyrektora pozwalaliśmy sobie dużo, zwłaszcza podczas jego choroby. Nieraz ruszałem z domu niby do gimnazjum, zabierałem na poczcie warszawskie pisma i szedłem w góry. Gdzieś w ładnem zakątku, w cieniu platana rozrywałem opaski na drukach i chciwie się pogrążałem w świat ukochany, a nawpół nieznany, polskich spraw i polskiej twórczości. Zżyłem się, zbratałem się z tem, co zawierały różowe okładki „Bibl. Warszawskiej" i zielone „Ateneum". Niedościgłym mistrzem języka i gentlmanem na szczytach kultury był dla mnie Świętochowski, autor Liberum Veto w „Prawdzie", którą też prenumerowałem, jakoteż „Przegląd Tygodniowy". Czytałem wszystko, pomimo niemałych trudności językowych, pomimo że świat spraw i obyczajów polskich był mi w znacznym stopniu obcym. Ale może właśnie dlatego z taką rozkoszą wgryzałem się w to wszystko i urabiałem się na całkowitego Polaka inteligenta. Rozpoczynałem dwa razy czytanie „Pana Tadeusza". Niezrozumiałemi były dla mnie typy i nazwy assesora, woźnego itp.; treść nie zajmowała zbytnio. Wielki poemat nic mi nie dodał do tego zapasu uczuć i wrażeń, które miałem na Syberji dzięki opowiadaniom Babki, majowym nabożeństwom w jej pokoiku i prezentom, przysyłanym z Wilna przez babki i ciotki. Poniechałem czytania „Pana Tadeusza". Natomiast coraz bardziej zrozumiałą i bliską stawała mi się Polska współczesna, jej ideały humanitarne i demokratyczne, zagadnienie szerzenia kultury, polska praca naukowa. Czy się wyzwoli kraj kiedy — nie wiedziałem i prawie nie myślałem o tem. Wiedziałem, że można dużo zdziałać, że można przygotować grunt do wielkich wypadków.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Marzyłem po ukończeniu gimnazjum wstąpić na Uniwersytet Warszawski, pomimo obrzydzenia, jakie budziła we mnie ta instytucja rusyfikacyjna. Pragnąłem poznać społeczeństwo nasze i kulturę polską i stanąć w szeregach pracujących nad podźwignięciem narodu. Zamierzałem przywieźć w darze nauce polskiej kilka okazów falang (tarantulów) —

*) Patrz Nr. 8.

i skorpjonów. Niebezpieczne i wstrętne te stworzenia żyły pod głazami na Stepie Kamienistym. Wybrałem się tam z kolegą, zaopatrzony w kilka oszklonych pudełek do cygar. Falanga przypomina olbrzymiego pająka 6—7 cent., ma włochate łapy, na przednich kleszcze, któremi kaleczy ofiarę i zatruwa jadem. Gdyśmy odwalili głaz, potworek stawał w pozycji obronnej, popiskując jak ptaszyna. Nie było mowy o chwytaniu ręką: braliśmy go dwoma patykami, na które się rzucał, usiłując rozkruszyć je paszczęką. Jednak chwytaliśmy zdobycz i pakowaliśmy do pudełka. Gdyśmy napełnili jedno z nich, mniejsze, położyłem je do kieszeni na piersiach i nic mi się złego nie stało. Skorpion, podobny do jakiegoś raczka, ma wygląd nie mniej ohydny, a odwłok jego z ostrym hakiem zadaje często śmiertelne rany. Owego dnia łowiliśmy tylko falangi. Było to przed obiadem. Na obiad wróciłem do domu i, zachowując całą sprawę w tajemnicy, złożyłem pudełka w dużej szafie z książkami, zamknąłem ją, a klucz schowałem. Następnie ruszyłem na pożegnalną ucztę koleżeńską do ogrodu Musy Rafiewa. Ojciec jego posiadał skład wschodnich dywanów; była to rodzina zamożna. Usiedliśmy na łące, okrytej wspaniałymi dywanami, w cieniu ajw i drzew granatowych. Zabrzmiały struny zurny, smutne lub dziwnie niepokojące, rozległa się pieśń jak wołanie do Boga na pustyni, to znów jak pożegnanie się ze światem konającego. Polało się do kielichów wino wyborne, stare, przyniesiono tace z rachat-łukumem, kiszmyszem, hałwą. Rozkryły się dusze młodzieńcze — moja romantyczna i te nawpół znane ormiańskie, perskie, gruzińskie. Zdawało się, że nic nas nie rozłączy że razem pójdziemy przez życie. I naprawdę związek przyjazny trwał długie lata potem. Niebiosa ciemniały, cykady odurzająco cykały na drzewach, gwiazdy znów przemawiać zaczęły swem wymownem a niezrozumiałem żarzeniem się prześwietnem. Po czułem pożegnaniu się ruszyłem do domu. Potęga młodości dodała mi lekkości, lecz winko pozbawiło całkowitej precyzji ruchów. Gdym przyszedł, rodzice jeszcze nie spali. „Ja wam coś pokażę". Otwieram szafę. Oj jej! W pudełku przegryziona dziura, sypią się trociny tekturowe. Gdzie największa falanga? Zaniepokojony biorę patyk i leciutko przesuwam po szczytach książek. Raptem rozlega się krzyk przerażonej matki; zostaję mocno szarpnięty za ubranie i odciągnięty od szafy. „Patrz!" — woła znów matka. Na górnej części drzwiczek, o które opierałem się ramieniem, wisiała chwiejąca się falanga; mogła lada chwilę spaść mi na szyję za ubranie. Nie zdołałem zastanowić się nad tem, w jaki sposób ją złowić, gdy matka strząsnęła potworka na podłogę i zaczęła deptać. Inne zmuszony byłem wyrzucić, by mieć święty spokój. Nie dojechały me zbiory do Warszawy.

Urzędowy Tyfliski dziennik „Kaukaz“ był redagowany przez poetę Wieliczko, tłomacza utworów gruzińskich i przyjaciela tego narodu. — Oskarżano go dość słusznie o niecne rozdmuchiwanie nienawiści między Ormianami i Gruzinami. Działalność ta była na rękę rządowi w myśl hasła „szerz kłótnie i panuj“. Rząd obawiał się rozwoju narodowości kaukaskich, dla tego pomimo błagań kupiectwa i inteligencji nie utworzył żadnego wyższego zakładu naukowego. Pod tym względem Tyflis doznał losu Wilna, a Kaukaz był traktowany tak samo jak „Kraj Północno-Zachodni“. Nienawiści plemienne żarzyły się i łatwo wybuchły w r. 1905. Opowiadano mi, że Elizawietpol zamienił się na dwa uzbrojone obozy, podzielone rzeką, raczej jej łożyskiem. Ormianie i Tatarzy z Persami zorganizowali dwie wrogie armje; była warjacka strzelanina, nie mało zabitych. Brano też jeńców. Wsie również rozpoczęły podobną wojnę; powstało piekło, póki nie zaczęła interwenjować władza, która pozostawała cały czas w ukryciu, prawdopodobnie celowo, by wszystkich przekonać, jak jest potrzebną, gdyż bez niej powstaje krwawy chaos.

— — — — — — — — — — — — — —

O 30 kilom. od miasta w dolinie między wspaniałemi górami widziałem b. porządną wieś sekcjarzy „duchoborów“, którzy nie składali rządowi przysięgi i nie dawali rekruta. Zesłani na Kaukaz i szykanowani przez władze, byli wzięci w obronę przez Tołstoja, który dopomagał im emigrować do Kanady, gdzie przebywają dotychczas, sprawiając niemało kłopotów rządowi tamtejszemu swem uporczywem uchylaniem się od obowiązku szkolnego. Ci przedstawiciele średniowiecza, których widziałem na Kaukazie, imponowali swym wyglądem: mocni, wspaniałej budowy, trzeźwi, ubrani w granatowe po kolana kaftany z dobrego sukna, trzymali się z godnością, wzbudzali zaufanie, słynęli z uczciwości, brzydzili się kłamstwem. Nie palili, by się nie upodobnić szatanowi, który wyrzuca dym z nozdrzy. Nie pili herbaty, którą nazywali zielskiem djabelskiem. Byli doskonałymi, zamożnymi gospodarzami. Czułem ku nim sympatję, uważałem ich za ofiary barbarzyńskiego prześladowania. Rosła we mnie odraza do władz petersburskich.

— — — — — — — — — — — — — —

Naczelnikiem policji powiatowej był Worobjew, człowiek starszy, dość otyły i ciężki, lecz mający bardzo bystre, młode, jasnobłękitne oczy, widzące daleko i szeroko. Twierdził, że matka jego była Polką. Względem Polaków, zwłaszcza względem naszej rodziny był bardzo przyjazny i uprzejmy.

Rodzice pozwalali mi, jako amatorowi jazdy konno, towarzyszyć mu w wyprawach inspekcyjnych po górach. Pewnego razu w pobliżu

dwu wiosek ormiańskiej i tatarskiej (azerbejdżańskiej) ujrzeliśmy przy drodze wśród krzewów, tłum Ormian. Wśród ponurych mężczyzn jęczały i szlochały zrozpaczone kobiety. Po zbliżeniu się ujrzeliśmy zwłoki trzech młodych silnych Ormian. Jechali oni na targ, gdy z krzaków posypały się w huku wystrzałów kule muzułmańskie. Między wioskami szalała oddawna nienawiść, padały ofiary, krwawa zemsta zbierała żniwo obfite. Teraz przyszła kolej na Ormian, którzy swą młodą krwią mieli zmazać winy swych ziomków i nasycić nienawiść sąsiadów. Zapewne ta krew pociągnęła nowe mordy. Kiedy się to skończyło, ile ofiar padło?

Wsie zakaukaskie kronik nie miały, jedyne oschłe policyjne doniesienia, pisane w obcem języku obojętnem piórem, zachowują ślady tych okropnych stosunków. Byłem przerażony i wstrząśnięty do głębi duszy. Poraz pierwszy ujrzałem zamordowanych ludzi. Jaskrawe słońce, niepokalany, uroczysty błękit niebios, majestatyczne góry — i potworna złość ludzka, przysporzająca żniwo nienasyconej śmierci!...

* * *

Ojciec mój był inspektorem weterynaryjnym w Elizawietpolu, musiał kontrolować czynności weterynarzy powiatowych, a w tym celu dokonywać uciążliwych objazdów całej gubernji, nieraz konno po bezdrożach. Towarzyszył mu stale strażnik policji ziemskiej muzułmanin Ali. W stroju czerkieskim, w czapie barankowej nawet w lecie, z karabinem nieodłącznym i szablą wyostrzoną, w miękkich butach bez obcasów, — był on uosobieniem wojowniczości i dzielności kaukazkiej. Miał zielonawe dobroduszne oczy, był prawe blondynem. Zaprzyjaźniłem się z nim wkrótce. Nieraz ruszaliśmy za miasto, gdzie nie brakło czaszek bydlęcych, bielejących wśród pustyni kamienistej. Stawialiśmy na kamieniach większą białą czaszkę z rogami i waliłem do niej z Berdana o kilkadziesiąt kroków. Strzelałem bardzo celnie, Ali był zdumiony, a jego pochwały zachwycały mnie. Ojciec cuda opowiadał o jego wzroku i celności. Trafiał w głowę dropi o jakie 50 kroków, a wśród najciemniejszej nocy jesiennej przeszywał spojrzeniem mrok, pędził konno przed powozem ojca i zaprowadzał ład wśród stłoczonych wozów lub bydła, tamującego przejazd. Gdy p zychodził do nas, Matka zawsze kazała kucharzowi nie żałować mu strawy. Wymownym zbyt ten Ali nie był, bo i języka dobrze nie znał, lecz uśmiechał się często bardzo słonecznie i życzliwie. Ogromnie został wzruszony i zachwycony, gdy Ojciec podarował mu świetny zegarek z amerykańskiego złota. Lubił mego brata 8-letniego Domusia i przyniósł mu do zabawy żywego baranka. Matka podziękowała, lecz kazała zabrać z powrotem, objaśniając, że z żywem stworzeniem dziecku bawić

się nie godzi. Wówczas wdzięczny Pers przyprowadził łagodnego osiołka, na którym mogła jeździć nawet 10-letnia siostra Kasia. Dniem dzieci pieściły go i karmiły, na noc odprowadzano go do gospodarza. Gdy się Ali dowiedział, że opuszczamy Kaukaz, uśmiechnął się z trwogą i nieufnością, siląc sę zrozumieć, czy nie żartujemy. Poczuliśmy, jak był do nas przywiązany. „Panie, rzekł do ojca z błyskiem w oczach, weź mię ze sobą. Jeśli ci kto zrobi co złego, zaraz go zabiję.“ Przyszedł pewnego dnia, gdy w opustoszałem mieszkaniu pakowano resztki rzeczy, a skrzynie, kufry i związane sznurami kosze świadczyły nazbyt wymownie, że wkrótce będziemy gdzieś daleko. Tatarzyn (tak nazywaliśmy tego Persa Azerbejdżańskiego) ucichł, zgasł, posmutniał; nie zwracaliśmy nań szczególnej uwagi, zajęci zbieraniem i segregowaniem rzeczy. Rapiem roziegło się głośne łkanie, potem tłumione szlochy i znów wybuch boleści. Skoczyłem do salonu i ujrzałem naszego przyjaciela, stojącego w kącie z dłonią przy twarzy. Czterdziestoletni wojownik, syn gór, mający zapewne na sumieniu nie jedno życie, ociekał łzami, jak osłabione, zrozpaczone dziecko. Stałem przed nim zgłupiały, zdębiały, ale za chwilę już mocno go obejmowałem i okrywałem pocałunkami. Tak miłośnie żegnałem się z Kaukazem.

Urok Kaukazu, poezja naszych wieszczów, wrzenie modzieńczych sił, marzenia o kraju i ubolewanie nad jego niedolą — wszystkie te czynniki działały jednocześnie i stopiły się w cudowną całość. Przyjechałem na Kaukaz chłopcem, wyjeżdżałem po dwu latach mężczyzną prawie. Dusza skąpała się w zdroju zdumiewającego piękna i oczyszczającej, hartującej, twórczej męki.

P. Ganżyński.

Wrażenia z kongresu historyków w Oslo.*)

Oryginalną grupę stanowili uczeni bolszewiccy na czele z Pokrowskim, ponurym starcem o zaniedbanej brodzie i nieprzyjemnem, niespokojnem wejrzeniu mętnych oczu.

Całe życie, zwłaszcza ostatnie dziesięciolecie, poświęcił pogromowi caratu; napisał dużo, wydał też nie mało dokumentów z tajnych archiwów, kompromitujących stosunki dyplomatyczne Petersburga. Jego 3-tomowa historja Rosji jest urzędowo uświęconem źródłem wiedzy historycznej dla inteligencji bolszewickiej. Jest on oddawna czołowym człowiekiem w kuźniach ideologji bolszewckiej, zwolennikiem teroru, obrońcą czerezwyczajek, o których pisał z powodu 10 rocznicy tych katowni w r. 1928, że były one jak i cały teror, dziełem samej ludności, więc są wyrazem woli ludu pracującego. Podobno był oskarzycielem

*) Patrz Nr. 3.

w procesie soc. rewolucjonistów, czyli pomagał wymordowywać przeciwników leninizmu. Jego 60 rocznicę urodzin obchodzono uroczyście w Moskwie w r. 1928. Ten patryarcha czerwonej nauki rosyjskiej, nieuznający „białej", europejskiej, zasiadł na estradzie, gdzie na miejscach honorowych uświetniali swą obecnością posiedzenie plenarne: nasz Dembiński, Francuz Glotz, Belg Pirenne, rektr. Inst. Kat. w Paryżu Mgr. Baudrillard, Niemiec Brandi, Anglik Temperley i in. Wśród odczytów, wygłoszonych w Auli in pleno w ostatnim dniu, zapewne nie małe zdziwienie wywołał elaborat Pokrowskiego, który dowodził, że samodzierżawje moskiewskie powstało i rozwinęło się jako narzędzie ekspansji kapitału handlowego rosyjskiego zwłaszcza w kierunku Azji. Niedorzecznością natomiast miały być twierdzenia historyków „burżuazyjnych", carskich, że obrona państwa była przyczyną rozrostu aparatu wojskowego Moskwy, a więc i samodzierżawja. Sekciarstwo marksistowskie w osobie Pokrowskiego popisało się arcyniezgrabnem naciąganiem historji na kopyto materjalzmu historycznego. Właśnie jako Polacy możemy z całkowitą objektywnością stwierdzić, że obok Tatarów byliśmy tym sąsiadem, który w walkach z Moskwą walnie się przyczynił do konsolidacji tego państwa, zwłaszcza po rozbiciu go przez nas w okresie zamętu (1606—1612). Sensację sprawiło zachowanie się przewodniczącego angielskiej delegacji Temperleya, który po ukończeniu referatu przez Pokrowskiego nie słuchał następnego mówcy, porwał się ze swego krzesła na estradzie i ruszył ku Pokrowskiemu, usiadł przy nim, ściskał mu dłoń z uprzejmym uśmiechem i zaczął gawędę z kolegą, który zachowywał ponury, niezachęcający wygląd.

Jeśli wystąpienie Pokrowskiego wzbudziło naogół zdziwienie i niesmak jako objaw tępoty sekciarskiej, to referat młodego Dubrowskiego z Moskwy o ruchach rewolucyjnych chłopstwa rosyjskiego w ostatnich dziesięcioleciach sprawiał wrażenie skandalu. Autor zgromadził dość ciekawy materjał, lecz przedstawił go okropną niemczyzną w sposób agitacyjny, używając wiecowych wyrazów: „wysysali soki" (ziemianie z chłopstwa), „eksploatacja biednych przez bogatych" itp. Zwłaszcza piorunujące wrażenie sprawiał język. Widocznie autor należał do tego pokolenia uczonych, którzy nie wychylali się poza granice ojczyzny czerwonej, nie studjowali pod kierunkiem obcych profesorów i nie przyswoili sobie praktycznie obcego języka, zadawalając sę prywatnymi lekcjami u profesorów wszechnauk gimnazjalnych z Homla lub Berdyczowa. Przepełniający salę Niemcy sympatycy oraz przewodniczący na posiedzeniu tej sekcji uczony z Gdańska mieli bardzo skonfundowany wygląd, gdy gość z Moskwy zaczął się nurzać ociężale w falach niby niemieckich, okrutnie zmoskwiczonych wyrazów; więc po-

uczał o tem, jak trzeba „mietodołogisch“ (methodologisch) studjować dzieje walki klasowej; informował o tem, co poczynają arme (biedni) na wsi i jak się spisuje czerwona Armee (armja); otóż tych dwu słów nie umiał należycie akcentować i powstawał bigos. Myśleliśmy, że w każdej wsi gości i rozbija się armja, a wszyscy czerwoni są biedni... Dyskusja po odczycie wypadła bardzo kulawo; miało się wrażenie, że czerwony uczony obraca ogromne kamienie młyńskie, gdy szukał słów w swym zawodowym słowniku.

Dwu innych Przeobrażeńskiego i Jureńca nie słyszałem. Pierwszy pracuje w Moskwie, bada historję wierzeń religijnych, drugi, Rusin z Małopolski, wykłada w Charkowie literaturę ukraińską. Po ukończeniu kongresu obaj zwołali zgromadzenie młodzieży komunistycznej do Uniwersytetu i wygłosili po niemecku mowy agtacyjne: pierwszy o tem, jak w Bolszewji pojmują historję (jako walkę klas), drugi o rozkwicie życia kulturalnego wśród mniejszości w państwie sowieckiem. Na plenum w przepełnionej Auli w ostatnm dniu Zjazdu znów słuchaliśmy wszelkich historyków w ciągu 3 przeszło godzin bez przerwy. T. Zieliński mówił o człowieku antycznym i nowożytnym. Pierwszego ma wyrożniać skłonność do rozumowania. Tak, według Platona człowiekiem odważnym bywa ten, który zważy wszystkie niebezpieczeństwa przedsięwzięcia, wszystkie szanse za i przeciw. Natomiast w w. XIX żołnierz rosyjski w „Opowieściach Sebastopolskich“ Tołstoja na zapytanie, czy się boi śmierci, odrzekł, że gdy o niczem nie myśli i idze na oślep, to żadnego lęku nie czuje; gdy zaś zaczyna się zastanawiać nad niebezpieczeństwami, to trudno wytrzymać. Prof. Zieliński twierdził, że ludzi nowożytnych cechuje czynnik woli; powyższy przykład miał tę tezę zilustrować.

Przemówienie patryarchy filologji klasycznej było wysłuchane, jak zawsze, z wielkiem zainteresowaniem przez wszystkich, gdyż obok ujmującej szaty pełne było głębszych myśli i interesujących danych i zestawień. Pomimo to, nie wszystkich przekonały wywody autora „Z dziejów idei“. Ten i ów pomyślał sobie: „Przecie zawsze myślałem, że Rzymianie odznaczali się żelazną wolą i dlatego stworzyli potężne państwo, oparte o dyscyplinowane legjony i zdumiewające prawo, a i wśród Hellenów nie brakło stoików. Pamiętajmy też o Spartanach. Tymczasem chyba słusznie uważamy, że miljony współczesnej inteligencji od Hamleta do Płoszowskiego, dekadentów francuskich, niedołęgów rosyjskich i bohaterów Przybyszewskiego — mają chorą wolę, są przeżarte analizą i zwątpieniem“. Zresztą same pojęcia o człowieku starożytnym i współczesnym są dość nieokreślone. Również można wątpić czy chłop rosyjski z przed 75 laty może być uważany za przed-

stawiciela ogółu europejczyków. Chociaż całe zagadnienie jest bardzo interesującc, niepodobna zastosować do niego ścisłej metody. Tak się zakończył kongres w Oslo, lecz mieliśmy przed sobą jeszcze wycieczkę do Bergen. P. Ż.

Co i jak pokazywali anglicy na Wystawie*) Kolonjalnej w Wembley w r. 1924

Żegnamy Australję i ruszamy do „Kanady". Jest to drugi co do wielkości i znaczenia pawilon wystawowy. Już przed 15 laty na Wystawie Powszechnej w Brukselli r. 1910 Dominion to zaimponowało wspaniale urządzonym przebogatym pałacem, który obok brazylijskiego był najbardziej pouczającym i interesującym. Wśród mnóstwa diaram uwagę zatrzymuje malownicze jezioro, po którym sunie malutki statek, zbliża się do elewatora, czeka na nadchodzący pociąg, który wyładowuje zboże. Ziarno z elewatorów dostaje się do okrętu, który kontynuuje swą podróż. Zboża tego, coprawda, nie widzimy, lecz cały mechanizm działa zdumiewająco. Kanada rozwija się szybko, jest ważnym terenem kolonizacyjnym i olbrzymią spiżarnią. W r. 1923 wywieziono sztuk żywego bydła do St. Zjedn. 228.000 i do Anglji 26.000, mrożonego mięsa 34 mil. funtów. W r. 1923 Anglja spożyła 4 mil. tuzinów jaj kanadyjskich. Hodowla drobiu kwitnie we wszystkich dominjach.

Pawilon indyjski nie był tak pouczający jak powyższe, nie posiadał dioram, tablic ściennych i map; urządzono go po kupecku; był to bazar raczej, w którym rozsiadło się kilkudziesięciu kupców w bogatych i interesujących sklepach z dywanami, naczyniami metalowemi artystycznie wykonanemi, haftami, rzeźbami itp. Dowodem istnienia rozwiniętego stanu średniego są olbrzymie dzienniki w językach miejscowych, większe od naszych największych, zapełnione ogłoszeniami. Przypominamy, że na uniwersytetach w Anglji kształci się 2000 Hindusów a własnych wyższych uczelni Indje posiadają 6 z jęz. wykł. ang. i 2 krajowe. Od r. 1919 Indje północne mają sejm.

Jednak kapitaliści indyjscy mają mało doświadczenia, w przemyśle brak dobrych techników, kierowników i ekspertów; stąd częste bankructwa. Olbrzymie kapitały włożono w przedsiębiorstwa wadliwe, robotnik na bardzo zyskownych fabrykach tkackich jest nadmiernie wyzyskiwany. Kraj posiada 7.514 większych zakładów przemysłowych z 1,600.000 robotn.; w tej liczbie tkalni jest 654 z 654.000 rob., spółek budowlanych 990 z 116.000 rob.; 625 fabryk chemicznych z 41.000 rob. Jednak liczby te są znikome w porównaniu do 34 milj. chałupników i rzemieślników, którzy rozpaczliwie walczą ze skutkami uprzemysłowienia;

*) Patrz Nr. 9.

kraj przeżywa taką walkę maszyny i pracy ręcznej, jaką Anglja miała w w. 18. Sytuacja jest niebezpieczna pod względem politycznym dla tego, że ludność pierwiej otrzymała prawa polityczne, niż możność rozwoju gospodarczego — jak i u nas na Kresach Wsch. Robota bolszewicka w tem największem na świecie mrowisku biedoty nie jest trudną. Rozrodczość olbrzymia — 31 na 1000 w r. 1923, gdy St. Zjedn. — 22, w Anglji — 20. Śmiertelność jeszcze bardziej rażąca — 24, podczas gdy w St. Zjedn. 12, w Anglji 11. Lecz istne orgje wyprawiała kostusia indyjska podczas influenzy w 1918 r., gdy z 1000 umierało 62, i w 1921 r., gdy umierało 30. O warunkach mieszkaniowych wielkich miast świadczą dane następujące: w Bombay 13,7 proc. ludności mieszka po 10 i więcej osób w jednym pokoju, a 97 proc. rodzin robotniczych mieści się również w jednym pokoju, — przeciętnie po 4 osoby. W tych jednopokojowych mieszkaniach umiera z 1000 niemowląt 828.*) Ubóstwo dziesiątków miljonów jest beznadziejne, niedożywianie się chroniczne. Cukru, witaminów, owoców spożywa biedota b. mało, a pożywienie dorosłego mężczyzny w Bombay zawiera mniej części pożywnych niż posiłek więźnia. Wśród Hindusów znane jest odwieczne przysłowie „Co lat 20 musi być wojna, głód lub dżuma" — bo tylko śmierć reguluje nadmiar ludności i wybawia od całkiem nieznośnych męczarni.

*) Wszystkie te dane biorę z b. bezstronnego artykułu „O aspiracjach nacjonalistów indyjskich" w „The Round Table" Sept. 1924, S. 41—59.

A. Siemiradzki.

Z dziejów walki o Trzecią Republikę.

W zeszycie sierpniowym paryskiej „Revue de deux Mondes" Duc de Broglie, wódz monarchistów, opowiada w swych pamiętnikach o rządach znienawidzonego A. Thiersa, w pierwszych latach (1871—73) trzeciej republiki. Oskarża swe stronnictwo o tchórzostwo i niemoc, ponieważ mogąc obalić rząd, na czele którego stał Thiers, cofało się z przerażeniem wobec groźby jego podania się do dymisji. Ci sami ludzie, którzy podniecali De Brogliego do ostrych wystąpień przeciwko rządowi, zwłaszcza z powodu podżegających mów, wygłaszanych na prowincji przez Gambettę, drżący i okryci bladością przepraszali swego wodza za zdrady i na żądanie Thiersa dawali mu votum zaufania. „Najlepsi moi koledzy przypominali rumaka, który w pełnym galopie stawał dęba przed głębokim rowem". Tak wielką była obawa przed nowymi wyborami w czerwonej Francji po pogromie 1870 r. i po komunie paryskiej.! Autor przedstawia Thiersa jako zręcznego mówcę, który na zarzuty o łączenie się z radykałami i rewolucjonistami zamiast odpowiedzi pytał: „Cóż, chcecie we Francji monarchji?!" W swych programowych mowach w Izbie ośmieszał monarchistów i wystawiał ich jako stronnictwo siejące zamieszki i niebezpieczne dla istnienia Francji. Zaznaczał — słusznie zresztą — że najwięksi radykali po dojściu do władzy stają się umiarkowanymi, gdyż potęga rzeczywistości i poczucie odpowiedzialności są najlepszem lekarstwem na skrajne poglądy.

Autor przyznaje jednak, że Thiers zręcznie doprowadził do skutku dwumiljardową pożyczkę wewnętrzną celem spłacenia Niemcom kontrybucji i zdołał zmniejszyć teren, okupowany przez armję niemiecką, przez co pozyskał wdzięczność wyzwolonych departamentów, pomimo że inne musiały przyjąć wycofane z tamtych załogi niem. Z goryczą stwierdza autor, że najważniejsza dyskusja w parlamencie nie mogła wstrzymać ówczesnych posłów przed opuszczeniem sali obrad w porze obiadowej, zwłaszcza z nastaniem upałów. „I obecnie żadna sprawa publiczna nie jest w stanie zatrzymać posłów w Paryżu, gdy rtęć na termometrze dojdzie do pewnej wyższej kreski, lub gdy zboża i winogrona zaczynają na dobre dojrzewać“.

Nienawiścią darzy Gambettę, który na licznych wiecach nazywał Izbę posłów z większością monarchiczną — trupem, czekającym na grabarzy, Thiersa nazywa dyktatorem i prawie królem. Podnosi wielkie zasługi monarchistów, którzy w tym niebezpiecznym okresie zwalczali czerwone niebezpieczeństwo. Nie ukrywa tępoty i bezwzględności pretendentów, którzy ogromnie utrudniali pozycję swych zwolenników. Tak, hr. Chambord nie godził się na najmniejsze ustępstwo w sprawie barw sztandaru przyszłej monarchji i był tak rozwscieczony, że uczestnikowi jednej z delegacji, biskupowi Orleanu dał do zrozumienia, że wątpi o jego honorze i wierności. Monarchiści dążyli do uniemożliwienia ogłoszenia formalnego republiki, hamowali pracę ustawodawczą z takim skutkiem, że konstytucja została uchwalona po czteroletniej przeszło walce w r. 1875. Nie mogąc wstrzymać zwycięskiego pochodu idei republikańskiej, wrogowie jej wbijali kliny między swych przeciwników. Pewnego razu Thiers, blady, okryty zimnym potem, zrozpaczony, zawołał do De Brogliego: „Zgubiliście mnie. Pokłóciliście mię z lewicą!“ Thiers jednak niezłomnie bronił republiki i wydalał z granic Francji wszystkich członków rodzin ukoronowanych, co pociągało za sobą burze w parlamencie. Pamiętniki De Brogliego są interesującym przyczynkiem do historji niebezpiecznego okresu narodzin współczesnej Francji.

F. Jabłkowski.

Przypomnijmy sobie, że...

+ 24. 1. 1764 poseł pruski w Warszawie zaprzeczył stanowczo pogłoskom, jakoby ze szkodą dla Polski miały być dokonane jakiekolwiek terytorjalne nabytki. Te pogłoski „oburzają Jego Król. Mość“. „Królestwo Pruskie spoczywa na podstawach zbyt mocnej sprawiedliwości, ażeby można było posądzać je o chęć powiększania się cudzym kosztem. A jednak 11. 4. 1764 Prusy zawrały tajemny traktat z Rosją celem niedopuszczenia w Polsce do dziedziczenia tronu. W maju Polska przyznała tytuł Króla Pruskiego Fryderykowi II, który dotychczas był uważany tylko za Margrabiego Brandenburskiego. W odpowiedzi na to poseł pruski ponownie oświadczył, że J. K. Mość nie ma żadnego zamiaru i chęci zamachu na całość Rzplitej. Tę deklarację o nieagresji Fryderyk podpisał 12. 4. 1764 po dojrzałej rozwadze. W r. 1771 zapomina on o swem zobowiązaniu uroczystem i pisze do swego posła w Petersburgu, że zamierza zabrać dla siebie część Polski. Porozumienie z Katarzyną II osiągnięto łatwo i 24. 7. 1772 zawarto traktat rozbiorowy w celu utrzymania pokoju wszechświatowego“. Po śmierci Fryderyka II jego następca Fryd. Wilh. II zawarł 29. 3. 1790 traktat przyjaźni i przymierza z Polską, lecz po dwu tygodniach zażądał zapłaty w postaci Gdańska i Torunia, które są „potrzebne dla handlu pruskiego“. Propozycja ta wywołała oburzenie w Polsce. 2. 4. 1793 władze pruskie gwałtem opanowały Gdańsk. Tak stosowały Prusy traktat przymierza z nami!

Współczesne Niemcy, wszystkie stronnictwa bez wyjątku, głoszą otwarcie, trąbią we wszystkie trąby, że nie uznają naszych granic, że zabiorą nam, „zrabowane“ na nich Pomorze i Śląsk. Jeśli „wstydliwi“ Prusacy XVIII w., czciciele świętej i nierozdzielnej Trójcy, rzucili się na nas przy pierwszej okazji, to czegoż się można spodziewać po wielbicielach Tirpitza, Hindenburga, zwolennikach wojny gazowej, marzących o zemście za poniżenie, za niespełnione nadzieje panowania nad światem?! Bądźmy przygotowani do wszystkiego i nie miejmy żadnych złudzeń.

(Rawita Gawroński. Traktaty a rzeczywistość)

+ Według uchwały Rady Ligi Narodów z grudnia 1926 r Komisja Kontroli Wojskowej była wycofana 31. 1. 1927. Wzamian za to Niemcy zobowiązali się do zniszczenia 34 nowych fortów z 88, które wbrew Traktatowi Wersalskiemu wznieśli przeciwko nam w Prusach Wschodnich i nad Odrą. Zatrzymali więc 54 forty, w tej liczbie główny pierścień fortów Królewca w liczbie 31 oraz 15 fortów wielkiej placówki wypadowej Lec na Pojezierzu Mazurskiem o 50 klm. od granicy polskiej. W ten sposób powstał olbrzymi obóz warowny, teren wypadowy w przygotowywanej wojnie z Polską. Port królewiecki będzie dostarczać materjału wojennego armji pruskiej i sprzymierzonym — bolszewickiej i litewskiej, które razem mają runąć na nas. Pancerniki niemieckie, które teraz są budowane, mają niszczyć statki francuskie, wożące nam materjał wojenny Wszystko jest przewidziane i przygotowywane, jak przed r. 1914. Czy w tym względzie naśladujemy należycie pierwszych w świecie organizatorów mordów i zniszczenia?.

Spostrzeżenie nad Łotwą.

+ Pouczające spostrzeżenie nad rozwojem uczuć narodowych można poczynić na Łotwie. Była ona najbardziej po Finlandji kulturalną dzielnicą rosyjską. Już przed 20 laty w Rydze odbywały się koncerty z udziałem 10.000 śpiewaków łotewskich. Takich cudów organizacji nie znała olbrzymia 170 miljonowa Rosja. Obecnie gospodarka mleczna stoi na Łotwie tak wysoko, że masło standaryzowane w ilości 40.000 beczek rocznie znajduje zapewniony zbyt na rynkach angielskich. Z upokorzeniem przypominamy sobie, że wskutek łotrostwa naszych eksporterów masła i niedbałej kontroli państwa, byliśmy w tej dziedzinie skompromitowani straszliwie w roku 1928. A jednak rozwój narodów ma swe prawa; ogniwa wypadków po rozerwaniu zwierają się znowu. Kto uwierzy, że naród, mający od r. 1918 własne państwo i od r. 1923 własną, doskonałą walutę łat — 1 frank szwajc., dotychczas powszechnie liczy na ruble (1 łat — 50 rubli), pomimo że one zniknęły z obiegu przed 6 laty?! W restauracjach ryskich i w miejscowościach kuracyjnych często cenniki przedstawiają dwie kolumny cen — w łatach i rublach. Ogół ludności, nawet wiejskiej, na rynkach podaje ceny tylko w rublach i na żądanie cudzoziemca z niechęcią i zdziwieniem rozpoczyna mozolną pracę przerachowywania. Tak konserwatywnemi są masy! Czyż się uda fanatykom przewrotu, zwłaszcza w Rosji, odmienić do dna ich przekonania, wierzenia, przyzwyczajenia? Opisane zjawisko świadczy wymownie również o potędze gospodarczej i kulturalnej Rosji. Ujawnia się ona w powszechnej niemal znajomości na Łotwie jęz. rosyjskiego, który stał się tam w znacznie większym stopniu międzynarodowym, niż niemiecki, pomimo że ten jeszcze w końcu XIX w. był językiem całej inteligencji „Kraju Nadbałtyckiego“, a więc Łotyszów i Estończyków. Żydzi, którzy posiadają olbrzymie bogactwa w Rydze i na wybrzeżu morskiem — w postaci pałacyków letniskowych, są — jak i u nas na Kresach Wschodnich — bardziej

Rosjanami niż sami Rosjanie, popierają wszelkie poczynania kulturalne rosyjskie, wydają doskonały i ogromnie nawet poza Łotwą rozpowszechniony dziennik antybolszewicki „Siegodnia“ („Dziś“), zamieszczający utwory pierwszorzędnych pisarzy emigracji rosyjsk. Bardzo żywotną jest idea federacji z przyszłą Rosją, która przestanie być niebezpieczną dla odrębności kulturalnych małych narodów.

Stosunek Łotyszy do kultury ros. jest wręcz odmienny niż u nas. Ani cienia niechęci! Wręcz przeciwnie — mnóstwo entuzjastów! Jest to skutkiem tego, że od lat przeszło 40 Rosjanie zaczęli we własnym interesie zwalczać wszechmocne wpływy niemieckie w Kraju Nadbałtyckim, zrusyfikowali Uniwersytet Dorpacki, część znaczną szkół średnich i powszechnych. Wyglądało tak, jakgdyby pomagali Łotyszom i Estończykom, którzy byli niemal wyłącznie chłopami i mieszczanami do zwalczania ekonomicznej i kulturalnej potęgi baronów. Młodzież łotewska kształciła się na uniwersytetach w Petersburgu i Moskwie, a ponieważ własnej kultury nie posiadano, utrzymuje dotychczas rosyjską. Polityka rosyjska na Łotwie względem Niemców przypomina chociaż w formie nierównie łagodniejszej politykę antypolską w „Kraju Północno Zachodnim“. Obecnie sfery rządowe łotewskie traktują sprawę rosyjską w swym kraju w sposób u nas niemożliwy: utrzymują teatr rosyjski w Rydze, przemawiają po rosyjsku do delegacji rosyjskich, umieszczają ros. napisy w wagonach i na dworcach, co zresztą ułatwia podróżowanie po tym kraju. Ambicji narodowej w naszem pojęciu Łotysze nie mają. To, co jest możliwe w Rydze, jest nie do pomyślenia w Warszawie: Słynna aktorka teatru narodowego w Rydze grywa też i w rosyjskim.

Tylko na terenie Łotwy obserwujemy takie zgodne pożycie z Rosjanami. Łotyszom obcy jest potworny nacjonalizm Litwinów. Estończycy nie mogą wybaczyć Rosji krwawego zamachu bolszewickiego z przed 2 lat.

Nasze wpływy są bardzo nikłe. Na stacjach pogranicznych Turmont i Zemgale kolejarze obu państw rozmawiają po rosyjsku. Bankowiec przy wymianie pieniędzy dotychczas się nie nauczył po polsku, pomimo, że kantor wymiany w Zemgale istnieje od 8 lat. I pomyśleć tylko, że wszystko mogłoby być inaczej, gdyby Zygmunt III Waza nie zaprzepaścił dzieła Stefana Batorego, który zdobył Rygę! Rolę Rosji nad Bałtykiem mogliby odegrać Polacy! Nie byłoby wówczas kwestji Kowna ani Prus Wschodnich. Tymczasem Rosja Piotra W., która wcale nie była kolosem, bo liczyła ludności prawie tyle co Polska (14 miljonów) zajęła miejsce, którego wskutek naszej słabości nie mogliśmy utrzymać. Kraj Nadbałtycki zasila od tego czasu tęgim niemieckim żywiołem szeregi budowniczych Rosji tyrańskiej. Na naszej ziemi niszczą oni nas bardziej systematycznie i zaciekle, niż sami Rosjanie. Siewersy, Igelstromy za Katarzyny II, Bergi i tysiące katów pomniejszych w okresie po roku 1863. Któż ich nie zna! Jeśli uprzytomnimy sobie, że Serbja i Bułgarja są dotychczas terenami ekspansji kultury rosyjskiej, że język ros. jest wśród inteligencji powszechnie znany i, jak na Łotwie, odgrywa rolę międzynarodowego, zrozumiemy, jak wielkie były wpływy Rosji na Bałkanie, który pozostał dla nas terenem niemal obcym. Teraz powinniśmy naprawić odwieczne błędy, błędy słabości i ignorancji.

St. Wesołek.